



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

DANIEL
OLBRYCHSKI

**Dlaczego chcę
mówić po rosyjsku**



Mógłbym być adwokatem
z urzędu Targowiczan.
Nawet Janusza Radziwiłła,
nawet pojałtańskich
komunistów polskich.
Może nie z ochoty, ale z urzędu
mógłbym ich bronić.
A Kaczyńskiego
nawet z urzędu nie.

DANIEL OLBRYCHSKI: DLACZEGO CHCĘ MÓWIĆ PO ROŚYJSKU

Z **DANIELEM OLBRYCHSKIM**
ROZMAWIA **PAWEŁ GOŹLIŃSKI**

PAWEŁ GOŹLIŃSKI: Kiedy oglądałem relacje z pogrzebu Aleksieja Nawalnego, przypomniła mi się pańska opowieść o pogrzebie Włodzimierza Wysockiego. To był rok 1980.

DANIEL OLBRYCHSKI: – Akurat w Moskwie trwała olimpiada, więc miasto było puste dość, oczyszczone z „ludzi niepewnych”. Niewygodne informacje też blokowano, więc chociaż na cmentarz odprowadzały Wołodę tysiące ludzi, świat niewiele o tym wiedział. Ja na pogrzebie być nie mogłem, kręciłem wtedy film.

„Jedni i drudzy” Claude’a Leloucha. Grał pan wybitnego niemieckiego dyrygenta z niechlubną przeszłością, trochę Karajana, trochę Furtwänglera.

– Dokładnie w dniu pogrzebu kręciliśmy wielką, plenerową scenę, dyrygowałem na Trocadero „Bolero” Ravela. Ale Rosjanie obchodzą też uroczyscie dziewiąty i czterdziesty dzień po śmierci. Dziewiąty, bo tego dnia dusza kończy zwiedzać raj i zaczyna poznawać, czym jest piekło. Czterdziesty to dzień krytyczny, gdy waży się, dokąd dusza ostatecznie trafi.

Dziewiąty dzień obchodziłem w Paryżu z wdową po Wołodii, Mariną Vlady. Obiecałem jej, że w dzień czterdziesty spotkamy się nad jego grobem w Moskwie.

W Polsce wiele się wtedy dzieje. Strajki, które zakończyły się Porozumieniami Sierpniowymi, potem szesnaście miesięcy nadziei ale i niepokoju, mimo to jakimś cudem dostaje paszport. Lecę do Moskwy. A tam, z honorami, podejmuję mnie ... KGB. Czeka ją już na lotnisku, a potem wiozą na Cmentarz Wagańkowski, gdzie pochowano Wysockiego. Wiele lat później też Okudżawę. Szczerze mówiąc, tylko dzięki moim opiekunom w ogóle mogłem się tam przebić. Kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłem wokół cmentarza płonące ogniska. Pytam kierowcy, o co chodzi? A on na to: „Uwiditie, uwiditie”.

I zobaczyłem: nagle z tłumy wyskakują młody chłopak z gitarą. Łamie jej gryf o kolano i wrzuca do ognia. Tak, to na cześć Wysockiego płonęły połamane gitary.

Wierszyk wtedy napisałem, ale nie chcieli mi go w Polsce wydrukować, bo rzekomo nawoływał do rewolucji w ZSRR. Może i tak: *My wilki, różne stada,
Połączyć by się czas.
Dziś z naszej wilczej ziemi
Własne szczerzymy kły.
My gitar nie zlamamy
Sklejcie gitary wy.
Tak się kończył.*

Jak pan poznał Wysockiego?

– Oczywiście znaleźliśmy się, jeszcze zanim los nas zetknął. Ja podziwiałem jego pieśni, on, jak większość inteligencji rosyjskiej, znał moje role u Wajdy i Hoffmana. A jak się spotkaliśmy? To anegdotyczna opowieść. Siedzę sobie na festiwalu w Moskwie, to był chyba 1969 rok. Mam tłumacza, choć na cholerę był mi potrzebny, ale jak już jest, to sobie po rosyjsku gawędzimy. Oczywiście wiedziałem, że on jest na podwójnym etacie, że jest też pewnie jakimś młodszym lejtnantem KGB. Zresztą każdy z zagranicznych gości miał wtedy takiego stróża.

Innym razem moją tłumaczką była śliczna Rosjanka. Zdradziła się, kim jest gdy, no cóż, wylądowała w moim hotelowym pokoju. Bo zanim cokolwiek się wydarzyło, włączyła kołchoznik, który był nie tylko radiem, ale kiedy młkł, zmieniał się w mikrofon. No więc ona go włączyła, żeby nas nie podsłuchiowano, za to mieliśmy akompaniament z czastuszek.

A wracając do Wysockiego...

– Pijemy więc sobie z tłumaczem koniaczek na półpiętrze hotelu Rossija, a on nagle mówi: patrz, kto idzie. Z windy wyszedł ubrany w dżinsy młody, niewysoki mężczyzna. „To Wysocki” – mówi tłumacz. Nie wiedziałem. Znałem jego głos, ale jak wygląda? W filmach nie grywał, miał bodaj zakaz. „Przed-



• Daniel Olbrychski, Warszawa, marzec 1970 r. FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS

staw mnie” – poprosiłem. Zbiegliśmy na dół i widzę, że Wysocki się uśmiecha. Znaczy wie, kim jestem. Wymieniliśmy uścisk dłoni i się rozeszliśmy.

Tylko tyle?

– Ale to nie koniec. Potem ten tłumacz, już mocno wstawiony, opowiada, że Wysocki, to – jasne – legenda, aktor, bard, gitarzysta, ale „jest coś ważniejszego, bo on – tu coś pogrzebał w marynarce, chyba coś włączył – jebiot Marinę Vlady”. Potem Marina za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, prosiła: – Daniel, opowiedz, jak poznałeś Wołodę.

Wyobraża Pan sobie, co on by mówił dzisiaj, jaką miał postawę?

– Wysocki? Pewnie taką, która zmusiłaby go do emigracji. Tylko że on by nie wyemigrował, wszędzie źle się czuł, poza Rosją. Zresztą to czysta teoria. Był starszy ode mnie siedem lat, umarł w wieku 42 lat jako ciężki, ciężki alkoholik. U niego wypicie lampki wina kończyło się wielotygodniowym ciągiem, więc wyniszczył sobie organizm kompletnie. Jeszcze w maju 1980 roku zdążył zagrać w Warszawie Hamleta. A miał nie zagrać.

Jak to?

– Przyjechał z Moskwy Teatr na Tagance, Wysocki miał dolecieć z Paryża, od Mariny. Tylko że nie doleciał, a „Hamleta” odwołano. Pytam Jurija Lubimowa, reżysera spektaklu, co się stało? Odpowiada, że Marina powiedziała, że go nie wypuści, bo poszedł w zapoj. Dzwonię więc do Mariny: „Błagam cię, wypuść go, obiecuję, nie będę go na chwilę odstępował i wyślę ci go z powrotem do Paryża”. Zgodziła się, Wołodzia przyjechał, zagrał. Wajda po spektaklu powiedział, że to było niesamowite, bo patrzył na człowieka, który się ściga z własną śmiercią. Ale nie wiedział, że to nie aktorstwo, że to jest życie. Wołodzia grał na krawędzi, tracił co chwilę głos. Zaczyna monolog, „Być albo nie być...” Niemal wszyscy aktorzy zaczynają go mówić szeptem, z głowy, a on go wykrzyczał: „Być, ili nie być, wot w cziem waproś”. Kpił sobie z tego szekspirowskiego pytania. Jakby już znał odpowiedź....

Tak jak obiecałem Marinie, Wołodzia wrócił do Paryża, trzeźwy. Pobyl tam parę tygodni i pociągłem wrócił do Moskwy. I tam umarł, 25 lipca.

Z pańskiej opowieści o podróży do Moskwy na jego grób wynika i to, że wtedy, w ‘80, możliwe było więcej niż teraz. Dziś putinowskie służby by nie puściłyby popularnego w Rosji polskiego aktora na grób Nawalnego ani dziewiątego dnia, ani czterdziestego, ani żadnego innego.

– Tak, pomylił się. W 2010, po katastrofie smoleńskiej, mówiłem w Moskwie: „nie zmarnujmy tej chwili, w której nasze narody mają szansę być bliżej siebie niż kiedykolwiek w historii”. Ale cztery lata później, po aneksji Krymu, odmówiłem grania w Rosji i w ogóle wjazdu na jej terytorium. To była dramatyczna decyzja. Byłem już w trakcie prób w teatrze w Moskwie. Znow trwała olimpiada, tym razem w Soczi i jeszcze nic nie zapowiadało nieszczęścia.

Ale Putin spokojnie odczekał, aż igrzyska się skończą i nikt mu ich nie zbojkotuje, jak tych w Moskwie, a potem napadł na Krym. Ja akurat wróciłem do Warszawy, miałem jakieś zawodowe sprawy, ale tylko na kilka tygodni. Potem miałem znów jechać do Moskwy. Dwie noce się biłem z myślami, aż w końcu powiedziałem żonie: nie jadę. Bo jeśli 90 procent Rosjan mówiło „Krym nasz”, to znaczy, że wśród tysiącosobowej publiczności, przed którą miałem grać, byłoby 900 osób, które popierają aneksję.

Napisałem list: „Nie mogę patrzeć spokojnie na bandyckie zapędy waszego prezydenta i udawać, że nic się nie stało. Ale życzę wam, żebyście znaleźli innego aktora na moje miejsce i żeby doszło do premiery”.

Odpisali?

– Tak. Że nie będą szukać aktora na moje miejsce, poczekają na lepsze czasy i na mnie. No i się nie doczekali. Od tamtej pory raz tylko zagrałem w rosyjskiej, a właściwie brytyjsko-rosyjsko-łotewskiej produkcji, ale na moje życzenie kręcili ją pod Rygą.

Co to był za film?

– „Van Goghi”, historia ojca i syna, artystów. Zagrałem rolę starego, wybitnego dyrygenta. Mojego syna grał świetny aktor, Aleksiej Sieriebriakow, znany z „Lewiatana” Zwiagincewa. A potem w 2029 roku w Londynie, podczas przeglądu filmów rosyjskich, zostałem uznany za najlepszego rosyjskiego aktora roku 2018. Film również obsypało nagrodami.

Dlaczego akurat dla tego filmu zrobił pan wyjątek?

– Jak zwykle, człowiek mnie przekonał. Przyjechał do mnie reżyser, Siergiej Liwniew, rosyjski Żyd mieszkający między Izraelem a Londynem. Powiedział, że dla mnie specjalnie napisał tę rolę, że wraca do reżyserii po dwudziestu latach, że to dla niego ważne, żebym to był ja, więc zgodzi się na każde moje warunki. Przeczytałem scenariusz, bardzo dobry, trudno było odmówić. Zwłaszcza że uszanował moją odmowę przekraczania granicy Federacji Rosyjskiej. Przeniósł produkcję na Łotwę.

Michałkow też by pana przekonał?

– Nie. Zresztą nawet w latach naszej przyjaźni wieczne klócił się o politykę. Mniej z jego bratem, Andriejem Konczalowskim. Zresztą oni między sobą też się nieustannie awanturują, to bywa nawet zabawne, jak Nikita wyzywa Androna od Żydów i kosmopolitów. Kiedy dwa lata temu Putin najechał Ukrainę, napisałem do obu list otwarty, parę zdań, że cały świat zna ich wspaniałą twórczość i głębokie treści w nią wpisane, ale ich prezydent wszystkie te wartości brutalnie łamie. Dlatego jako przyjaciel oczekuję od nich publicznego protestu. Tak, oczekiwałem od nich bohaterstwa, ale to jest czas, który wymaga bohaterów. Podpisałem: „Wasz polski brat”.

Oczekiwał pan jakiejś odpowiedzi?

– Nie, dlatego nie rozczarowało mnie to, że do dzisiaj nie mam od nich żadnego sygnału, żadnej reakcji. Konczalowski wprawdzie zadzwonił, to zbyt inteligentny i wrażliwy człowiek, żeby w ogóle nie dać znaku życia po takim liście, ale w rozmowie unikał polityki jak ognia. Mówił o sztuce, o przyjaźni, że najważniejsza jest praca, takie tam, chociaż wiedziałem, że w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że nie więcej powiedzieć ani zrobić nie może. Zresztą jego jeszcze trochę rozumiem. W wypadku samochodowym, który sam spowodował, ucierpiała jego córka. Od kilku lat jest w śpiączce. Więc nawet mając podwójne obywatelstwo, rosyjskie i francuskie, nie może wyjechać, demonstracyjnie opuścić Rosji Putina. Ze względu na dziecko.

A Nikita?

– Mój brat, mój polski brat – mówił o mnie. A teraz widziałem, jak ten wybitny przecież artysta i intelektualista jakieś bzdury wygaduje o zakażonych gołębiach, które z Zachodniej Europy wysyłane są na terytorium Rosji, roznosząc na łapkach truciznę. Taki bełkot.

Andriej ma przyłożony pistolet do głowy, ale Nikita ten pistolet polknął i przyswoił. Po naszym przystąpieniu do NATO w wywiadzie dla „Polityki” bredził, że wprawdzie kocha Polaków, ale uważa, że teraz słowa naszego hymnu, „Jeszcze Polska nie zginęła”, mogą stać się nieaktualne. Odpowiedział mu chwilę później, też w prasie, artykułem „Do przyjaciela Moskala”.

„Martwi mnie – pisałem – że zamiast robić wielkie filmy, bierzesz się za to, na czym się nie znasz. Okudżawa by Cię wyśmiał, a Wysocki dalby Ci po głowie gitarą. Czy zastanawiasz się czasem, mój kochany idioto, co mówisz?! Aleksander III ma na sumieniu pogromy i zbrodnie na podbitych przez Rosję narodach. I wielu Rosjan doskonale to opisało. A więc Nikitko, weź się do roboty. Historycznej, moralnej i ojcowskiej. Stwierdziłeś otwarcie, a może byłeś lekko poddawszy, [wstawiony] że syna byś wysłał na wojnę do Czeczenii. W takim razie widzę

Moją tłumaczką była śliczna Rosjanka. Zdradziła się, kim jest, gdy, no cóż, wylądowała w moim hotelowym pokoju. Bo włączyła radio

Ciebie lub Twoich przodków na czele rzezi Pragi, przy mordowaniu Powstania Listopadowego czy wieszaniu bohaterów 1863”.

Skończył pan sugestią, żeby się Michał-kow kopnął w swoją siwą głowę. Ale napisał też pan, że wciąż go kocha.
– Dziś już nie. Gdy się jawnie popiera zbrodniarza, jakim jest Putin, to nie ma „zmiłuj się”. Mówię to z wielkim bólem.

Gdzie się poznaliście?

– Oczywiście w Moskwie tak jak z Wysockim, na festiwalu filmowym. Odbывał się co dwa lata i był swego czasu czwartym wielkim, po Cannes, Wenecji i Berlinie. Spotykaliśmy się tam, bardzo młodzi, jeszcze na iwni. Andron Konczalowski już reżyserował, Nikita był aktorską gwiazdą i duszą towarzystwa, więc hulaliśmy po Moskwie. Ale już studiował reżyserię, pokazał mi swój dyplomowy film. Powiedziałem: to będzie jeden z największych reżyserów, nie tylko rosyjskich. Potrafił okazywać przyjaźń. Przyjechał na mój benefis z okazji pięćdziesięciolecia, obok Elki Czyżewskiej jako jedyny ze świata. Inni się nagrali z życzeniami: Barysznikow, Marie Laforet, Monika Vitti, Le-louch. Ale najbardziej wzruszył mnie wtedy Bułat Okudźawa. Nie przyjechał, ale napisał dla mnie wiersz. „Język nie winował”.

Widział mnie kiedyś w telewizji, występowałem na jakiejś konferencji prasowej w Rydze. Łotewska dziennikarka zadawa pytanie po angielsku. Powiedziałem, że przecież na pewno wszyscy znają tu rosyjski, więc odpowiem po rosyjsku, nie będzie trzeba tłumaczyć. Byli zaskoczeni. „Dlaczego chce pan mówić po rosyjsku, przecież wyrządzili Rosjanie tyle zła, i nam, i wam, Polakom”. Wtedy odrzekłem: „język nie winował”.

Dziś też by pan powiedział, że język jest niewinny?

– Tak. Zgadzam się z Miszą Barysznikowem, który od dziesięcioleci mieszka na emigracji i nigdy nie pojawił się w Rosji. I nie pojawi dopóki – jak mówi – truchło Lenina nie zostanie pochowane na cmentarzu zamiast w mauzoleum. On mówi, że rozumie całą nienawiść do tego, co rosyjskie, że ja w znacznej mierze podziela, ale niech to się nie zmienia w pogardę dla rosyjskiej kultury, dla literatury. Zgadzam się z nim i tyle.

Kiedy Wołodia Wysocki leżał w odkrytej trumnie, przed pogrzebem, Marina Vlady odciała kosmyk jego włosów. Połowę, z garścią ziemi z jego mogiły, zamknęła w tym pudelku i mi podarowała. Zasklepiło się tak, że nie można otworzyć. I niech już tak zostanie.

Co pan czuje, tracąc tych rosyjskich przyjaciół? Żal? Rozczarowanie?

– Złość.

Wie pan, kiedy recytuję „Do przyjaciół Moskali” Mickiewicza, zdumiewa mnie jego niesamowita aktualność. *Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny, Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy, Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny, Niech zrże i pali, nie was, lecz wasze okowy. Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga*

Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży Do cierpliwie i długo noszonej obroży, Że w końcu gotów kąsać — rękę, co ją targa.

Choć czasami zaskakiwali mnie ci rosyjscy przyjaciele.

To był chyba rok 2005, Maria Kaczyńska, żona ówczesnego prezydenta Warszawy, przypomniła sobie o moich 60. urodzinach i zapewne wpłynęła na męża, bo miasto zaproponowało, że sfinansuje jubileuszowy spektakl. Miałem sobie wybrać teatr, sztukę i reżysera. Pomyślałem o Teatrze na Woli, a jego dyrektor zaproponował, żebym zaprosił jakiegoś wybitnego reżysera ze świata. Padło na Androna Konczalowskiego. Zgodził się, wyreżyserował „Króla Lira”. Na pierwszej próbie – sam go jeszcze wtedy tłumaczyłem – powiedział do polskich aktorów, że największy błąd Rosja popełniła w roku 1612, wypędzając Polaków z Kremla. Przerwałem tłuma-

czenie. Mówię: Odbiło ci? Przecież to byli bandyci, chuligani. Polski król nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Andriej na to: „tłumacz dalej”. Więc tłumaczę, że „gdyby wtedy Polacy zostali na Kremlu, byłibyśmy dzisiaj normalnym, katolickim, europejskim krajem”.

Oczywiście podejrzewam, że Konczalowski chciał się nam trochę podlizać. Ale jednak... Mówił jeszcze potem, a ja tłumaczyłem, że jesteśmy bardzo do siebie podobni, z temperamentu, z charakteru, z duszy, ale dzieli nas fundamentalna rzecz: Polacy wzięli chrześcijaństwo z Rzymu, a oni z Bizancjum. A tam, wiadomo, każda władza pochodzi od Boga. I obojętnie, czy tą władzą jest car, chan, sekretarz partii, prezydent, konduktor w pociągu czy kelner w restauracji, nie dyskutuje się z nim ani, broń Boże, nie sprzeciwia.

Ale pan pyta o Wysockiego, a ja chciałem o papieżu.

Franciszk?

– Właśnie. Wciąż nie mogę wyrzucić z głowy tego, co mówił o Ukrainie.

Że powinna mieć odwagę wywiesić białą flagę?

– Przecież to brzmi tak, jakby Franciszka Słowacki uczył. Jest przecież w „Kordianie” ta słynna scena audiencki u papieża. I cóż papież mówi Kordianowi?

Jutro z majestatu

Dam wielkie przeżeganie Rzymowi i światu, Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą; Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...

Więc Franciszek okazuje się następcą Grzegorza XVI, który potępił Powstanie Listopadowe?

Nieodrodnym następcą! Chyba że to grzech ignorancji, który jest jednak grzechem chyba bardzo poważnym na takim stanowisku. Przecież cały świat wie, kto jest agresorem, kto jest zbrodniarzem w tym konflikcie. A tu biała flaga? To jest niewybaczalne i mówi to głowa kościoła katolickiego.

I co pan robi teraz z tym swoim chrześcijaństwem? Zostanie pan schizmatykiem?

– Za późno, żebym temu chrześcijaństwu w sobie zaprzeczył, ale to, co mówi Franciszek o Ukrainie, jest okropne. „Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi” – mówi mu Kordian. Gorzkie, prawda? A na to odpowiada nawet nie papież, tylko jego papuga. Zresztą nie chodzi tylko o Watykan.

Bismarck, nie ma co mówić, jeden z największych polityków cywilizacji, powiedział, że Polaków nie należy podbijać. Polakom należy dać wolność i sami się wtedy pozzerają. I co?

Ruskie służby przez lata wylaziły ze skóry, żeby rozbić kościół w Polsce. Przez lata PRL-u to się nie udało, ale przyszła wolność. A zaraz potem pojawia się Radio Maria. Ojciec Rydzyk nie ukrywa, kto mu przekazał pierwsze nadajniki. Pamięta pan?

Nie.

– Konsul sowiecki! To były nadajniki opuszczającej NRD Armii Czerwonej. Rozumie pan? Wódeczki napili się razem, polubili, no i Rydzyk dostał taki bezinteresowny prezent w imię przyjaźni? Uwierzy pan w to? Bo ja nie.

Pierwszy kontakt z Radiem Maryja miałem na początku lat 90. Jechałem z Paryża do Warszawy, więc najpierw do mnie po francusku z radia gadali, potem po nie-

miecku i raptem w okolicach Berlina słyszę czysty polski język. Ki diabeł? Ja w to się wsłuchuję, a tam pomiędzy przepisem na zupkę pietruszkową, co jakaś siostra uwarzyła, padają jakieś wyzwiska straszne. Na Wajdę, na Michnika, na Mazowieckiego. I w kółko: „tu radio Maryja”.

Więc jadę od razu do Adasia Michnika – przecież znamy się jeszcze z liceum. Mówię: słuchaj, co to jest? Plują na ciebie, na Wajdę, śmierdzi mi to. A on na to: „Danek, nie ma się co przejmować, to tylko niszowe radyjko”. Po latach Adam przyznał mi rację, to nie było niszowe radyjko, tylko rozsiewnik zarazy, która szerzyła się, szerzyła, aż zdobyła miliony wyznawców. Nawet mądrzy politycy nie reagowali, bo przecież wywalczyliśmy wolność słowa. Nie reagował Kościół. Nie reagował papież Wojtyła. A te szczekaczki toruńskie stawały na głowie, żeby Polska nie weszła do NATO, a potem do Unii Europejskiej. Nawet nie szukając innych sloganów, niż te z mediów Kremla.

A potem miliony wyznawców Rydzyka zapewniły władzę PIS-owi. A że pożądanie władzy – jak w starożytnych tragediach i u Szekspira – silniejsze jest zawsze od rozumu, moralności i patriotyzmu, więc szły do Torunia pielgrzymki tych otumanionych ludzi, których nie posądzam o aż taką głupotę, by nie widzieli, w interesach jakiego państwa nadaje Rydzyk i jego media. W interesie jakiego państwa kreuje się niebywałą teorię zamachu smoleńskiego. W czym interesie skłóca się Polaków tak, jak nie udało się ani zaborcom, ani Hitlerowi, ani Stalinowi.

Wciąż oglądam powtórki „Rancza”, przecież to najlepsza opowieść o Polsce od czasu Wyspiańskiego.

Skłócanie narodów to podstawowe narzędzie służb specjalnych Rosji, od wieków. Eksport chaosu.

I nie uważa pan, że je jednak przebudziłyśmy się z tego złego snu? Mieliliśmy wybory 15 października, mamy nowy rząd, nową telewizję, biedniejszą, ale znacznie bardziej publiczną.

– Ale to nie znaczy, że były naczelnik państwa stracił wpływ na to społeczeństwo, chociaż jego ostatnie wypowiedzi prowokują pytanie, czy jest aż tak nikczemny, czy osiągnął już tak wysoki poziom demencji. Wydaje mi się, że on już nie bardzo wie, jakiego państwa był naczelnikiem, gdzie to państwo leży i gdzie znajduje się geograficzny wschód, a gdzie zachód. Uważam, że jako obywatel mam prawo żądać, aby o stanie umysłu człowieka, który wpływa na los milionów moich rodaków, wypowiedziało się jakieś wiarygodne konsylium psychologów bądź psychiatrów.

Parę lat temu Jarosław Kaczyński skojarzył mi się z Ryszardem III Szekspira. Kiedy przez pół roku uczyłem wiersza w Akademii Teatralnej, przyszedł do mnie młody student, który chciał recytować jego pierwszy monolog. Mówi, że trochę nie wie, jak się za niego zabrać. Poradziłem mu, żeby za Ryszarda podstawił sobie jakiegos współczesnego polityka. „Wtedy pan zrozumie, kim jest Ryszard”.

Upośledzony z natury, niekształtny – mówi o sobie Ryszard w tym monologu.

– A wtedy studentowi streściłem ten monolog własnymi słowami: Jestem mały, brzydki, mówi Ryszard, psi na mój widok wyją, kobiety nie chcą ze mną tańczyć... Co mam robić? Muszą się mnie bać. A żeby się mnie bali, muszę mieć władzę i dla niej popełnić każde świństwo, podłość, każdą zbrodnię.

A jak się to kończy?

Wiadomo: „Konia! hej! konia! królestwo za konia!”. Zastanawiam się tylko, jak długo wszystkie nasze problemy będziemy składać na karb Kaczyńskiego.

– Kiedyś na pewno przestaniemy, ale teraz mamy cholernie trudny i ważny czas rozliczeń. Czas ujawniania i naprawiania przestępstw, jakich dopuściła się tamta władza. Nie tylko w sensie kryminalnym. Chodzi o zdradę – całą masę zdrad – polskiej racji stanu. Wie pan, nawet Targowiczani mogli próbować usprawiedliwić, bo przecież okazało się, że kolaboracją z Katarzyną próbowali chronić kraj przed tragediami, które się później wydarzyły: klęską Powstania Kościuszkowskiego, rzezią Pragi, niebytem Polski na prawie 200 lat.

Ryzykowna teza.

– Ale i tak mógłbym być adwokatem z urzędu Targowiczani. Nawet Janusza Radziwiłła, nawet pojaltańskich komunistów polskich. Może nie z ochoty, ale z urzędu mógłbym ich bronić.

A Kaczyńskiego nawet z urzędu?

– Nie. Bo szczucie Polaków na siebie, skłócenie narodu zamachem smoleńskim to nawet nie są błędy polityczne. To są zbrodnie.

Warto sobie przypomnieć, w jakiej sytuacji byliśmy jeszcze piętnaście lat temu, przed Smoleńskiem. Trwa polityczna koniunktura, jesteśmy członkami NATO i Unii Europejskiej, z którym się liczą, bo rozumiemy jak nikt inny grę sił na wscho-

dzie kontynentu. Kreml machnął na nas ręką – wydawało się, że żadnych wpływów już u nas nie odzyska. A tu Kaczyński, Maciarenicz i inni zaczyna swoją krucjatę. I co teraz mamy?

Przeraża mnie myśl, że w obecnej sytuacji międzynarodowej PiS mógłby wrócić do władzy. A przecież może.

Czy jakiegokolwiek role są jeszcze w stanie pana tak rozpalic jak polityka?

– Nie wiem. Mało ich dostaję, zwłaszcza w polskim kinie. W ostatnich latach grałem w Ameryce, w „Salt” z Angeliną Jolie, grałem w Niemczech, Włoszech, Czechach, Węgrzech, nawet w Japonii. A w Polsce dwa epizody, może trzy. Żadnej poważnej roli od 25 lat. I to nie jest sprawa wieku, bo 25 lat temu miałem pięćdziesiąt parę lat, to najlepszy czas dla aktora. Moi koledzy – Depardieu czy De Niro – robili po kilka filmów rocznie. We własnym języku. A ja? Nic.

Ale czy jest jakiś polski film z ostatnich, w którym żałuje pan, że nie zagrał?

– Nie umiem odpowiedzieć. Zresztą i tak najbardziej lubię polskie seriale i na gościnne występy w nich zawsze dam się namówić. Gościnnie. Bo przewijając się w nich przez lata nie miałbym czasu i cierpliwości. Chociaż takie „Ranczo”: przecież to najlepsza opowieść o Polsce od czasu Wyspiańskiego.

Aż tak?

– To jest kwintesencja współczesnej Polski, napisana z miłością, ale i z okrucieństwem Wyspiańskiego. Przecież ta ławeczka pod sklepem – to jak chór w greckiej tragedii. Więc wciąż oglądam powtórki „Rancza”, i jeszcze „Ojca Mateusza”. W żadnym filmie fabularnym aktorzy nie mają tak na-

pisanych ról, tak rozpisanych historii, ty-
lu możliwości, żeby eksplorować to, co jest
dla mnie w aktorstwie najbardziej intere-
sujące: ludzkie relacje. O – teraz zachwyca
mnie serial „Klara”.

Kto pana uczył takiego aktorstwa?

– Dziś uczą mnie moi młodszy koledzy, pod-
patruję ich. A kiedyś? W szkole teatralnej
nie zdążyłem, bo już na pierwszym roku
Wajda mnie porwał do „Popiołów”. Przy-
szedł do szkoły, a rektor Jan Kreczmar od
razu mu powiedział: – Nie musi pan cho-
dzić po innych rocznikach, bo tu jest chłó-
pak, którego powinien pan zaangażować
do głównej roli. Jest taki trochę fizycznie
wyblakły, taki albinos, bez oczu, ale jak go
dobrze pomalujecie, to może nawet aman-
ta zagrać.

A kiedy wróciłem po urlopie dziekań-
skim i chciałem dalej grzecznie studiować,
bo tak obiecałem mamie, rektor Jan Krecz-
mar zapytał: „Danielu, czy masz jakieś pro-
pozycje filmowe?”. Mam, mówię, ale mama
mi każe skończyć szkołę. „Mamę biorę na
siebie, odpowiedział rektor. A ty się tutaj
nudzisz, demoralizujesz studentów, więc
będzie lepiej i dla ciebie, i dla szkoły, jak
pójdiesz własną drogą. Jak masz propo-
zycje, to graj, graj, graj. Będziesz się w bie-
gu uczył”.

Ale jeszcze zanim Pan trafił do szkoły teatralnej, było....

-Telewizyjne studio poezji Andrzeja Konica.
To ono zdecydowało o tym, że nie kontynu-
owałem dobrze zapowiadającej się kariery
sportowej i to w kilku dyscyplinach.

Co miesiąc przygotowywaliśmy program,
który szedł na żywo, ja, Magda Zawadzka,
Witek Dębicki, Jola Zykun, Marek Perepecz-
ko. Sporo świetnych aktorów wyszło spod
ręki Konica.

Pierwszy nasz program to były „Kwiaty
Polskie” Tuwima. Recytowałem „La Grande
Valse brillante”, jeszcze zanim Ewa Demar-
czyk zaczęła go śpiewać.

Trema?

– Chyba nie. Konic miał swoiście bezbolesną
metodę wprowadzania nas w aktorstwo, nie
chciał z nas robić małych dorosłych, bazo-
wał na naszej chłopięcości, dziewczęcości.
Mówił, że wiersz to po prostu jeszcze ład-
niejsza wypowiedź o sobie, bo rymowana.
Więc niczego nie trzeba udawać, tylko mó-
wić jak najbardziej od siebie. Potem Janusz
Nasfeter wypatrzył mnie i dał rolę w party-
zanckim filmie „Ranny w lesie”. Więc szkoła
teatralna stała się po prostu naturalnym cią-
giem dalszym moich przygód.

A jak pan trafił do studia Konica?

– Ogłoszono nabór wśród licealistów, więc
poszedłem z organkami.

Dlaczego z organkami?

– Bo miałem zaśpiewać piosenkę jakąś, po
francusku, mama mnie nauczyła. A nie wie-
działem, czy będzie tam jakieś pianinko,
więc żeby sobie podać ton, wziąłem organki.
Dmuchałem, zaśpiewałem i mnie przyjęli.

Mama kazała szkołę teatralną kończyć, piosenki nauczyła... Ważna ta mama.

– No cóż, to cud, że mnie w ogóle urodzi-
ła. Przyszedłem na świat w lutym 1945 ro-
ku, więc pierwsze trzy miesiące ciąży
przypadły na Powstanie w Warszawie.
Tak, ja je przeżyłem w brzuchu mamy.
Potem opowiadała mi historie, jak z Bia-
łoszewskiego: piwnice, w których ukry-
wała się z moim o sześć lat starszym bra-
tem, walącą się kamienicę, z której wy-
szła chwilę wcześniej, exodus cywilów
z wypalonego miasta, obóz przejściowy
w Pruszkowie... Rodzice się zatrzyma-
li w dworku pod Kiernozią i stąd bryczką,
jak przyszedł mój czas, jechała mama do
szpitala w Łowiczu.

Rodziłem się przy lampie naftowej. Front
był już dalej na zachodzie.

Mama skończyła romanistkę w Wilnie
i jak podejrzewam, miała tam flirt przynaj-
mniej z Czesławem Miłoszem.

Skąd pan to wie?

Kiedy pan Czesław miał już Nobla, przy-
jechał do Paryża, gdzie wtedy mieszka-
łem. Odbył się wieczór jego poezji, czy-
tałem je po francusku z Romkiem Polań-
skim, a pan Czesław czytał po polsku. Kie-
dy nas Romek sobie przedstawiał, Miłosz
zaczął uważnie mi się przyglądać, pamię-
tam, że miał dziurkę w brodzie jak mój oj-
ciec. A w końcu mówi: – Pana mama, Kli-
ma, piękna dziewczyna była, z Podlasia.
Ale potem pojechała do Warszawy i wy-
szła za mąż za jakiegoś Olbrychskiego...
O przepraszam!

Przygotował sobie ten żarcik, ale ja
wiedziałem, że coś tam było na rzeczy. Na-
wet z emigracji pisał listy do mamy.

Zachowały się?

– Nigdzie nie mogę ich znaleźć.

Kiedy Miłosz przyjechał do Polski po
raz pierwszy po Noblu, zadzwonił z lotni-
ska do mamy. Spotkali się. A potem chciał,
żeby mu pokazał jej rodzinny Drohi-
czyn. Ja nie mogłem z nim jechać, ale jak
wrócił, powiedział: „No, magiczne mia-
steczko. Jak wszedłem na Górę Zamko-
wą i patrzyłem na te krajobrazy, bardzo
podobne do wileńskich, to zrozumiałem,
dlaczego pan, wychowany w tych krajo-
brazach, tak dobrze się czuje w poezji na-
szych romantyków”.

Też pan tak to sobie tłumaczy?

– Pewnie miało to znaczenie, chociaż ma-
ma...

Tak, znowu mama. Po wojnie rodzice
nie mogli mieszkać razem. Z przyczyn lo-
kalowych można by rzec. Ojciec w War-
szawie mieszkał kątem w jakiejś komu-
nalce, więc mama została w Drohiczynie,
gdzie uczyła francuskiego w liceum i pro-
wadziła kółko teatralne. A kiedy jechali-
śmy do ojca, do Warszawy, to matka cią-
gnęła mnie ze spektaklu na spektakl.

Kiedy miałem 10 lat zobaczyłem w Na-
rodowym „Kordiana” z młodzieńcem Ta-
deuszem Łomnickim. Konstantym – ge-
nialnym – był Jan Kurnakowicz. W tym
samym przedstawieniu cara grał Igor
Śmiałowski i po latach opowiadał mi, jak
Kurnakowicz – znany z tego, że zbyt wielu
książek nie przeczytał, a może nawet ani
jednej – przygotowywał się do roli.

Więc zaczyna się próba generalna,
a Kurnakiewicz, już w mundurze, pyta
Śmiałowskiego: „Panie kolego, coś tak nie
uważnie reżysera słuchałem, więc mam
do pana jedno zasadnicze pytanie”. „Słu-
cham mistrzu”. „Tak na scenie, to ja tak
pana lubię czy nie lubię?”.- „Nienawidzi
mnie pan, mistrzu” – odpowiedział Śmia-
łowski. „A to dobre” – odpowiedział Kur-
nakowicz i zaczął się od razu klepać po
udzie. Jak prawdziwy Konstanty.

Aktorski geniusz.

Od razu pan to wiedział?

– Pewnie, że się nudziłem, za dużo jak dla
dziecka monologów było, ale Kurnakie-
wicza zapamiętałem doskonale. To było
pierwsze w moim życiu teatralne zwierzę.

A jakby podsumował pan co się teraz dzieje w Polsce?

– Wie pan, przed wielu laty, w 2011 roku
w wywiadzie, którego udzielałem redak-
cji „Sukcesu” na Placu św. Marka w Wene-
cji powiedziałem, że Donald Tusk jest je-
dynym prawdziwym polskim mężem sta-
nu. Mamy szczęście, że pan Donald jest
dziś takim mężem również na miarę Eu-
ropy i świata, a 15 października nie mniej
ważną datą niż 4 czerwca 1989, czy 3 ma-
ja 1793.

*„Po dniu 3 maja w ratuszowej Sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali.
Gdy przy tańcu śpiewano*

*„Wiwat Król Kochany!
Wiwat Sejm, Wiwat Naród, Wiwat
wszystkie stany!”*

Nie marnujmy tego! ●